

Wybory

ANDRZEJ CHODACKI

Dzień wyborów zbliżał się wśród ogólnonarodowego poruszenia. Kandydaci byli poruszeni dylematem, ile można wyciągnąć na patrycjuszowskim stołku i dlaczego tak mało?

W małym miasteczku rozpoczęto sezon grzewczy, jakby chcąc ogrzać serca elektoratu w nadziei, że tym liczniej stawi się przy urnach. Na ulicach witały przechodniów uśmiechnięte twarze oklejające szczelnie każdy słup i ścianę aż do wysokości, na której już tylko koszykarze mogliby wypatrzyć wyborcze zachęty. Pod każdym plakatem solidarnie zapewniano, że „Polakom się należy”, że „zasłużyli na więcej” i że „człowiek (w intencji autorów chodziło o postać prezentowaną na plakacie) jest najważniejszy”.

Miejscowi fotografowie dokonali prawdziwych cudów, przeobrażając stare pudernice w zadbane, eleganckie kandydatki do pełnienia władzy. Z młodszymi było prościej. Wystarczyło ubrać je w pozbawione dekoltów, sekretarskie garsonki i już wyglądały jak prawa ręka i lewa dupa przewodniczącego partii reklamowanej na plakacie. Zapewniało to ślicznym kandydatkom bezinteresowną niechęć starszych od nich kobiet, ale za to przyciągało męski elektorat zawieszony codzienną, małżeńską szarzyzną.

Machina wyborczej manipulacji została rozkręcona do granic medialnej wytrzymałości. Wystarczyło wykupić czas antenowy w dobrych godzinach, gdy elektorat zasiada do odbiorników, i już spokojnie można było kandydować do najwyższych urzędów w państwie. Media kreowały prezydentów, odsadzały na stanowiskach ministrów i marszałków. Jak zawsze za armią złożoną z pseudoelit wlokły się tabory doradców, klakierów oraz atrakcyjnych kobiet, które liczyły na udziały w zyskach kandydata, gotowe tulić go potem do swych wybujałych piersi, gdy będzie płakał, że żona go nie rozumie.

Cisza przedwyborcza krzyczała z kolorowych banerów, ekranów mylących kierowców na skrzyżowaniach. Stosy makulatury walały się po zaułkach ulic, gdzie biedacy zbierali je na opał, nie zdając sobie sprawy, za jakie ogromne pieniądze zostały wydrukowane, pieniądze wyrwane z ich głodowych emerytur.

W telewizji, jak za starych, komunistycznych czasów, debaty półgłówek z idiotami zapełniały nędzny program antenowy. Każdy z kandydatów chciał dodać sobie powagi. Nawet doktor nauk śmiesznych wszędzie pisał, że jest doktorem, korzystając skwapliwie z nienależnego mu wysokiego zaufania społecznego do lekarzy. Tytuły profesorskie były w najwyższej cenie. Tak jak mundur, jakkolwiek, mógł być leśnika lub górnika, byle tylko stawał za kandydatem porządek i uczciwość budowaną latami przez grupę zawodową.

Najważniejsze narzędzie diabelskie w historii świata szykowało się do swojego święta. Pod czarnym uniformem demokracji przemycano prawdziwe intencje niedowartościowanych potentatów finansowych pragnących już tylko władzy, i to najlepiej nieograniczonej. Ten czas zdecyduje, czy przez następne cztery lata będą mogli łamać bezkarnie przepisy ruchu drogowego i przyjmować królewskie hołdy, załatwiając dowolną sprawę jednym telefonem. Na dźwięk nazwiska pana posła zegnije się niejeden kark. O zgrozo! Często nieświadomi ludzie zamiast prosić Boga o pomoc, będą prosić jego, wszechwładnego pana posła!

Zainwestowane w kampanię pieniądze zwrócą się w kilka poselskich miesięcy. Jest przecież tyle możliwości, tyle komisji do spraw zbędnych, tyle przetargów do ustawienia. Po prostu istne Eldorado. Kilkadziesiąt milionów ludzi płaci ciężko wyrwane losowi pieniądze do wspólnej skarbonki, z której oni, wybrańcy, będą czerpać bez ograniczeń.

A po wyborach? Jak zwykle, przecież już kiedyś ktoś wam to wszystko wyjaśnił:

...Wszystkie aspekty tego, jakże arcyważnego problemu społecznego muszą zostać poddane wnikliwej i gruntownej analizie przez grono kompetentnych specjalistów...